

ŁUKASZ MALINOWSKI

SKAŁD

KOWAL
SŁÓW



ŁUKASZ MALINOWSKI

KOWAL SŁÓW

SKAŁD





MAPA WSCHODNICH KRAIN
 SPORZĄDZONA PRZEZ FINŁOŃA BARDA
 957 LAT PO NARODZENIU KRISTA
 NA PODSTAWIE RELACJI
 Z PODRÓŻY AINARA SKALDA

SŁOWO WSTĘPU DO DRUGIEGO WYDANIA

„Co dwie, to nie jedna”? Przysłowie to może i sprawdza się w kwestii „głów”, ale w przypadku książek już niekoniecznie. Dlatego oddaję w Państwa ręce nie tylko poprawioną, lecz także połączoną w jeden wolumin wersję Kowala słów. Zresztą właśnie taki był mój pierwotny zamysł, gdyż powieść tę napisałem jako całość, a tylko z powodu marketingowego założenia poprzedniego wydawcy ukazała się w dwóch tomach. Cieszę się więc z decyzji wydawnictwa Genius Creations, które wyszło naprzeciw moim oczekiwaniom i ufając w mocne kręgosłupy czytelników oraz solidność księgarsnianych półek, wypuszcza na świat tę oto cegłę. Miłego czytania życzę

Łukasz Malinowski

OPOWIEŚĆ O SZALEŃSTWIE

Dom nie wyróżniał się niczym szczególnym wśród prostych chat grodu. Jedna izba, palenisko na środku, drewniana podłoga i cztery ściany. Za to mężczyźni, którzy do niego weszli, na pewno nie byli prostymi rzemieślnikami. Wskazywały na to ich rany, broń oraz pancerze.

Trzech z nich niosło czwartego – związanego i nieprzytomnego. Przybysze rzucili więźnia na ławę przy ścianie, zamknęli za sobą drzwi na skobel i wzięli się do rozpalania ognia.

Gdy polana ułożono już w namiocik, a znajdujące się w jego środku suche patyczki rozпалиły się do czerwoności, spętany człowiek zaczął się poruszać.

– Zobaczcie, kto się przebudził! – zawołał niebieskooki Vaering¹, człowiek z Północy, wcześniej zabijający czas rzeźbieniem figurki wilka.

– Mhmmm, hhh, hmmm.

– Co tam bełkoczesz? A tak. Usta.

Rzeźbiarz podszedł do więźnia i wyjął mu knebel, czyli starą szmatę umazaną krwią.

– Zapłacicie za to, psy! Natychmiast mnie rozwiążcie!

Nikt nie zwrócił uwagi na jego słowa. Poruszył się tylko Vaering, jednak nie spełnił żądania jeńca, a wrócił do zabawy nożykiem i drewnem. W końcu podniósł wzrok znad figurki.

– Nie rozumiesz? – zapytał. – Nie ma już nikogo, kto przyszedłby ci z pomocą. Zostałeś sam, na łasce nas trzech.

– Jesteście szaleni!

Trzej mężczyźni śmiali się i szczyrzyli zęby o wiele dłużej niż nakazywała przyzwoitość.

– Nikt nie będzie się o to spierał, choć tylko ty wrzeszczysz i szarpiesz się jak człowiek pozbawiony rozumu.

¹Na końcu książki znajdują się dwa dodatki od Autora, w których zostały wyjaśnione liczne kwestie merytoryczne i nazewnictwo (przyj. red.).

– Śmiesz mi zarzucać brak rozważy? Jesteście zdrajcami i sprzedawczykami. Uwięziliście mnie bez powodu, a przecież powinniście być mi wdzięczni za wszystko, co dla was uczyniłem! Jesteście jak wściekłe kundły, które gryzą rękę swojego pana!

– Ciekawa sprawa z tym szaleństwem. Wiesz, przewędrowałem kawał świata i słyszałem wiele historii o ludziach niespełna rozumu i rzeczach, które mogą pchnąć człowieka w obłąd. W moich rodzinnych stronach mówi się, że to sam boski Göllnir przemawia przez szaleńca i ukazuje prawdziwe oblicze świata. Drgawki natchnionego są płasami człowieka unikającego zranienia, ślina tocząca się z ust to łzy matek oplakujących zabite dzieci, niepohamowana mowa jest bełkotem tych, którzy nas napominają, gniew to uczucia, jakimi darzą nas bogowie, a śmiech – znaną wszystkim opinią o wartości ludzkiego życia. Dlatego my, mieszkańcy Północy, obdarzamy takich ludzi szczególnym szacunkiem, uważając ich za wybrańców bogów. Niektórzy mówią, że oprócz skaldów i kapłanów tylko słabi na umyśle potrafią rozmawiać z niebiańskimi Asami i Wanami.

– Widać u was wszyscy są szaleni.

Niebieskooki wzruszył ramionami. Rzeźbił teraz głowę wilka, wióry niesione przeciągiem łagodnie opadały do ogniska. Drażył oczy czubkiem nożyka. Widać była to rzecz wymagająca dużego skupienia, gdyż milczał. Dopiero gdy uporał się z obiema żenicami, zaczął prawić dalej:

– Bywałem też w Kristlandach, gdzie czci się Krista, boga o ciekawym podejściu do szaleństwa. Mieszkający tam kristmadowie zupełnie inaczej traktują pomyleńców, choć zgadzają się z moimi rodakami co do jednego: że ich szal ma nadprzyrodzone pochodzenie. Jeden z munków, jak nazywają tam kapłanów, opowiedział mi kiedyś historię z *Sagi o Kristosie*. Pewien włóczęga, którego ludzie mieli za pozbawionego rozumu, chodził nago i mieszkał w grobach, będąc zapewne złodziejem mogił. Czasem wiązano go linami i łańcuchami, by sprawdzić, jak wielką siłę daje mu szaleństwo. A była ona ogromna, gdyż mężczyzna za każdym razem wpadał w taką złość, że potrafił zerwać wszelakie pęta czy okowy. Próby się skończyły, gdy nieszczęśnika spotkał Krist i stwierdził, że mężczyzna jest opętany przez złego demona o imieniu Legion. Miano to znaczyło, że wiele złych duchów zamieszkiwało w tym człowieku, tak jak we mnie mieszka wiele duchów opie-

kuńczych. Czy ten mąż był berserkiem? Nie wiem. Ale Krist postanowił pozbawić go nadludzkiej siły i wszelkiej nadprzyrodzonej opieki, każąc demonom trapiącym mężczyznę zamieszkać w świniach, które pasły się nieopodal. Tu opowieść staje się niezbyt jasna, a i munk nie potrafił mi tego wytłumaczyć, ale duchy posłuchały uzdrowiciela i doprowadziły zwierzęta do takiego szaleństwa, że te pospadały w przepaść. Nie wiadomo, do kogo należały, ale jeśli szanowano wówczas prawo zemsty, ich właścicielem był pewnie jeden z tych, którzy później zabili Krista. Ale mniejsza z tym. Najważniejsze, że nawet kristmadowie uważają szaleństwo za stan nadprzyrodzony, którego lekceważenie jest błędem. A ty popełniłeś ten błąd.

KSIĘGA I ZŁOTOWŁOSA



1

Ainar widział wiele niesamowitości. Rybę z rogami jednorożca, kobietę z trzema piersiami, cielaka z dwoma głowami, a nawet córkę władcy mórz Aegira, która miała wodorosty we włosach. Wszystko to jednak bledło wobec człekopodobnego stworzenia, które ujrzał, wychodząc w południe ze skytningu położonego w osadzie tuż za wałami Holmgardu. Biesiadował w tym pijackim przybytku od trzech dni, nic więc dziwnego, że uznał, iż ma zwidy. Przetarł podkrążone oczy, podrapał się po zarośniętych policzkach, mrugnął kilka razy i zatańczył brwiami. Nic się jednak nie zmieniło – czarnoskóry stwór nadal stał przed nim, zasłaniając mu słońce.

Powiedzieć o tym dziwołagu, że miał osobliwy wygląd, to tak, jakby brzydულę nazwać niewiastą o niespotykanej urodzie. Przybysz był niewiarygodnie szkaradny i wielki jak troll. Wyróżniał się też nieproporcjonalnie długimi rękami, silnymi nogami i szeroką klatką. Przez ramię miał przerzuconą cętkowaną skórę jakiegoś wielkiego kota, a na nogach szarawary – spodnie o szerokich nogawkach, ściągniętych przy kostkach rzemieniami. W ręce trzymał włócznię o przesadnie zaokrąglonym grocie, a przy jego pasie wisiał dziwny miecz o tak zakrzywionej głowni, że przypominał sierp. Trzecią niezwykłą bronią był przypięty do lewego boku nieznanomego długi nóż, który zamiast prostej rękojeści miał uchwyt z osłoną chroniącą zaciśniętą dłoń.

Ainar zrozumiał, że miał przed sobą stworzenie znane na Północy jako Blamad.

– *Heilsan*² dla Ainara Skalda z mroźnego Noregu. Twoja pijacka sława nie jest przesadzona. Myślałem, że już nigdy nie wyczołgasz się z tej budy. Rozumiesz w ogóle, co do ciebie mówię, czy twój rozum utonął już w miodzie?

Już sam fakt, że poczwara – która najwyraźniej miała więcej wspólnego z człowiekiem, niż Ainar początkowo zakładał – przemówiła, było niezwykle. A jeszcze to, że odezwała się w jego języku, w dodatku

² *Heilsan* (stskand.) – Pozdrowienia (ten i dalsze przypisy pochodzą od autora).

wołała go po imieniu i słaawiła jedną z jego najwspanialszych umiejętności, całkiem przypominało pijacki sen.

Ostrzegano go – jeszcze zanim wyruszył na morze – że krainy Au-strvegu, czyli Wschodu, to siedlisko potworów, z którymi szukający przygód wojownicy z Północy musieli walczyć całymi dniami – oczywiście z przerwami na spółkowanie, picie, jedzenie i spanie. Prawda, we wschodnich grodach spotkał już karły i czarowników, którzy panoszyli się tam jak u siebie, ale w ogólnym rozrachunku nie zobaczył tu nic, czego nie widziałby już w siedzibach władców Północy. Wszędzie opowiadano mu jednak, że jeszcze dalej na wschód, w głębi Bjarmalandu czy Glaesiru, tych dziwów będzie więcej.

– Jam jest Ainar Skald, sprawny w strof składaniu, mistrz miodowych mów i przeciwnik pustych pucharów. Jeszcze nie wynaleziono takiego trunku, który mógłby sponiewierać drenga takiego jak ja i splątać mu język. Po czym w ogóle wnosisz, potworze, że jestem pijany?

– Bo zadałem to pytanie już trzy razy, a ty w tym czasie dwukrotnie upadłeś i cztery raz poprosiłeś mnie o napełnienie rogu.

Pieśniarz uznał, że w tych słowach może tkwić ziarno prawdy, gdyż uświadomił sobie, iż kiwa się na czworakach, a taka pozycja wyjaśniała, dlaczego obcy zasłaniał mu cały widok. Skald podniósł się niespiesznie, otrzepując kurz z niebieskich spodni i czerwonego kyrtilu – wełnianej tuniki sięgającej ud. Przy tej czynności omal znów się nie przewrócił. Kiedy już stał, stwierdził, że Blamad nie wydaje się tak wielki, choć przerastał Ainara o pół głowy.

– Kim jesteś, karli bękarcie, i skąd znasz moje imię?

Przybysz uśmiechnął się, przy okazji demonstrując, że Ainar się mylił: otóż mężczyzna nie był całkowicie czarny – jego zęby świeciły bielą jak kły morsów. Wszystkie były spiłowane i wyglądały na ostrzejsze od noży.

– Zwą mnie Ali ibn Ali ibn Ibrahim ibn Rahin. Lub po prostu Ali. A skąd znam twoje imię? Przez całą noc tak chwaliłeś się nie tylko nim, lecz także swoimi czynami i pieśniami, że mógłbym o tobie napisać całą sagę.

– Śledziłeś mnie, podstępny synu ciemności!

Ainar zrobił groźną minę, choć bardziej z powodu męczącego go pragnienia niż ze zdenerwowania. Nie docenił miejscowych drwali

o rumianych policzkach, którzy mieli łeb do picia tak samo dobry jak jego krajanie.

– Nie musiałem. Tylko drzemałem pod drzewem, ale ty darłeś się tak głośno, że cała osada słyszała. Uprzedzę kolejne pytanie. Przysłał mnie największy z kaganów, wspaniały czarownik, który potrafi wplatać gwiazdy w grzywy swoich wierzchowców. Tirus Wielki.

– Kolejny „wielki”? Odkąd przybyłem do tego kraju, ciągle słyszę o wielkoludach. Tymczasem nie spotkałem nikogo, kto wielkością dorównywałby mnie.

– Tylko jeśli chodzi o wzrost. Choć, jak sam widzisz, i to się teraz zmieniło.

– Mimo to muszę odmówić. Mam jeszcze dzban do wychylenia.

Ali ponownie się uśmiechnął i kiwnął głową. Skald dostrzegł kątem oka, że zza rogu skytningu wybiega trzech czarnoliczych olbrzymów z pałkami.

Przeklął, bo w budynku zostały jego miecz i nóż. Nawet nie próbował się bronić, wiedząc, że po pijaku nie wygra. Dосkoczył za to do Blamada i trzasnął go czołem w twarz. Usłyszał chrzęst łamanego nosa. Ledwie pozwolił sobie na szyderczy uśmiech, kiedy, podzielony pałką po głowie, upadł na ziemię.

2

Obudziły go smród łąna, bzyczenie much oraz przyjemny wiaterek. Otworzył oczy i ujrzał nad sobą zad klaczy, która wachlowała go ogonem. Przez chwilę czuł się jak w domu, zad ten bowiem niczym nie różnił się od tych, jakie widywał w Östlandzie.

Wspominanie rodzinnych stron zostało przerwane, gdy czyjaś czarna głowa przesłoniła mu widok. Jej właściciel stwierdził głosem zmienionym przez opatrunki tkwiące w dziurkach złamanego nosa:

– W końcu nasza księżniczka się obudziła.

Östmad szarpnął się i poczuł uścisk sznura na ramionach i nogach. Dopiero teraz pojął, że spoczywa przywiązany do włóczyska. Pod plecami nie czuł niczego twardego, zatem konstrukcja musiała zostać wykonana ze skóry rozciągniętej na drewnianej ramie. Jej dolne rogi ciągnęły się po ziemi, a górne utrzymywały się w powietrzu dzięki dwóm żerdziom przymocowanym do boków klaczy.

– Mógłbyś nie zasłaniać widoku?

– W twoim stanie chyba lepiej, że daję ci trochę cienia.

– Lepiej, ale jestem pieśniarzem wyczulonym na piękno, a twoja gęba jest szkaradniejsza niż koński zad.

– Gdyby to zależało ode mnie, przed oczami miałbyś tylko ziemię.

Uśmiech Vaeringa, który ten pochopnie przywołał na twarz, szybko zmienił się w grymas bólu. Kac i obita głowa dały o sobie znać. Ale do wiedział się przynajmniej tyle, że porywacze nie zamierzali go zabić.

– Los człowieka przędą norny, ale jego wykonawcami są zwykłe ludzie. Kto więc trzyma igłę nawlekającą nić mojego przeznaczenia?

– Jak na skalda masz kiepski słuch. Mówiłem przy naszym pierwszym spotkaniu, że Tirus Wielki zaprosił cię do swojego pałacu.

– W moich stronach gościmy piwem i mięsiwem, a nie pałką.

– W naszych zaś miodem, chlebem, solą i damskim towarzystwem.

Ale jeśli gość obraża gospodarza, zasługuje na karę.

– A czymże mu uchybiłem?

– Odmową.

– A co to za gospodarz, który z zaproszeniem wysyła potwora z sag dla dzieci?

– Potężny. Taki, na którego rozkaz ożywają bestie z ludowych skazek. Ali uśmiechnął się, pokazując palcem, kogo ma na myśli.

– A jak tam twój nos?

– Piękny nie byłem, to i tym ciosem urody mi nie dodałeś.

Pieśniarz zdziwił się, słysząc tę zuchwałą i ciętą odpowiedź, godną prawdziwego syna Północy, a nie jakiegoś czarnego stwora. Blamad zachowywał spokój i wydawało się, że nie da się niczym sprowokować. Skald zaczął uważniej przyglądać się porywaczowi. Obserwację miał o tyle ułatwioną, że Ali ciągle był w ruchu, raz prowadząc pochód, raz doglądając więźnia, to znów gawędząc z towarzyszami, Östmad mógł go więc obejrzeć z każdej strony. Czarny demon miał rozumny wyraz twarzy, a w jego oczach nie tliły się iskierki okrucieństwa charakterystyczne dla odrmadów, szaleńców. Był łysy, ale jego głowę zdobiło coś innego niż włosy. Na całej jej górnej części widniał niebieski tatuaż węzowego łba, którego poskręcany, rozdwojony język sięgał brwi wojownika. Grube cielsko gada spływało na szyję, kark i plecy czarnego stwora, by wic się wokół kręgosłupa, a potem nikać pod szarawarami. Poeta domyślił się, że tatuaż ciągnął się dalej, po prawej nodze Blamada, gdyż tuż nad stopą zobaczył koniec cienkiego ogona, wyłaniający się spod nogawki spodni.

– Skąd tak dobrze znasz mowę moich przodków i obyczaje ludzi Północy, demonie? – zapytał, gdy Ali kolejny raz się zbliżył.

– „Demonie”? Prawisz jak ci śmieszni mężczyźni w czarnych kciakach z Kristlandów. Nie powinieneś mnie raczej nazwać draugiem albo fbandim, jak w twoim języku mówi się na krwiożercze potwory?

– Powiniennem. Ale kristlandzki „demon” lepiej pasuje do jakiegoś tam Ibna, który trzy razy dziennie wzywa imienia boga Maumentsa.

– Muhammada... Widzę, żeś mądrzejszy, niż wyglądasz, choć nie do Muhammada kieruję modły, bo to tylko prorok. Ale muszę cię za-wieść. Żaden ze mnie džin, ifrit ani nawet ghul, choć smolistą barwą skóry mógłbym konkurować z diabłem Romverjów. Jestem po prostu zwykłym Blamadem w niezwykłej krainie.

– Taaa... Zwykłym... Masz szczęście, że to nie zima.

– Czemuż to?

– Bo wyglądałbyś jak gówno na śniegu.

Żart był słaby i prostacki, ale pieśniarza wciąż bolała głowa, utrudniając skupienie. Nie był zadowolony z dowcipu, lecz z radością dostrzegł, że porywacz nie został na niego obojętny. Ali na pół uderzenia serca zmarszczył brwi, zdradzając zdenerwowanie.

– Bezczelny jak zawsze. Ale ja nie pozwolę sobie na gniew. Poznałem się na was, Vaeringowie. Wyniosłością, śmiałością i pogardą stawiacie się ponad innymi, by ukryć prawdę.

– Jaką to? Ciekawym wielce.

– A taką, że na ziemiach Wschodu jest was tylko garstka. I taką, że gdyby mieszkańcy Gardariki się zjednoczyli, uciekalibyście w popłochu jak bydło przed grzywiastym kotem.

– Twój pan musi myśleć inaczej. W końcu to ja jestem mu do czegoś potrzebny, a nie kupa smerdów z cepami i widłami.

– Zostałeś wezwany, bo kagan nie posłuchał mojej rady.

– Widać mądry, że odrzuca od siebie czarne myśli.

– Cięty masz język, ale lepiej na niego uważaj. Nie jesteśmy na Północy, gdzie zuchwałość nagradza się złotymi pierścieniami. Choć przodkowie mojego pana również wywodzą się z Noregu, nie pobłąza on takim jak ty. Za mniejsze przewiny wbija na pal i rozrywa końmi.

– Nie odpowiedziałeś jeszcze na moje pytanie. Skąd znasz język i obyczaje mego ludu?

– Szybko się uczę, a spotkałem wielu Vaeringów i kilku sagnamadów. Poznanie waszej mowy i nauczenie się waszej beczelności nie jest trudne w kraju, którego władcy wysługują się obcymi z różnych stron, by rozwiązywać swoje problemy.

– A skąd ty się tutaj wziąłeś? Jakoś nie pasujesz mi do lasów i stepów. Może ten wasz grzywiasty kot przegnał cię z ojczyzny?

– To długa historia, nie będę cię zanudzał.

– Chwilowo nie mam nic lepszego do roboty.

– Dobrze więc. Pochodzę z krainy, którą wy, przybysze z Północy, nazywacie Blalandem. Matka powiła mnie w małej wiosce daleko na południe stąd, na obrzeżach wielkiego królestwa Wagadou rządzonego przez ród boskich ghanów. Było to wspaniałe sioło nad jeziorem. Mężczyźni z mojego plemienia zajmowali się polowaniem, a kobiety przyrządzaniem strawy. Wzbudzaliśmy lęk we wrogach, a miłość w przyjaciółach. Gdy osiągnąłem wiek męski, zabiłem wielkiego grzywiastego kota i zostałem przyjęty do grona wojowników. Potem, zwy-

czajem przodków, wyruszyłem do Serklandów, by uczyć się rzemiosła wojownika i poznać sekret stali. To tam poznałem...

– Jednak masz rację. Nudzisz mnie. Ciekawszym zajęciem jest oglądanie chmur.

– Jak chcesz – gniewnie rzucił Ali i odszedł.

Ainar przymknął oczy i spróbował się przespać. Drzemka okazała się całkiem przyjemna, choć przerywana wstrząsami, gdyż ciągnięto go po wertepach. Jawa mieszała mu się ze snem. Odróżniał je tylko po tym, że jawa była bardziej bajkowa. Dwóch Blamadów jechało na cudacznych koniach z garbem na grzbiecie. Bestie o żółtej sierści rzucały mu znudzone spojrzenia, a ich tępe pyski nie przeżuwały tylko wtedy, gdy zwierzęta pluły. Inny czarnoskóry dosiadał małego konia w paski. Jechał na oklep, a jego nogi potraçały źdźbła poźółkłej trawy. Podróżowali teraz między bezleśnymi wzgórzami, ale nie dotarli jeszcze do sławnych południowych stepów, o jakich opowiadano mu w otocznym lasami Holmgardzie.

Nastrój senności i ośpienia potęgowało słońce. Skóra boleśnie swędziała pieśniarza, zmieniając odcień na ohydnie rumiany, a potem na jeszcze brzydszy – brunatny. Nie myślał o tym, gorzej jednak było z niezwracaniem uwagi na narastające pragnienie. Łaknął jednak nie wody, którą porywacze regularnie wlewali mu do ust ze skórzanego bukłaka, lecz *ale*. Żłocistego napoju, jedyne, jaki jest w stanie ugasić ten rodzaj pragnienia, który męczy mężczyznę w upalne dni.

Katusze spragnionego zakończyły się szybciej, niż się spodziewał, i nie w taki sposób, w jaki sobie życzył.

Skórzane leże gruchnęło o ziemię. Głowa poety ponownie wybuchła bólem, a z góry skapnęła na nią ciepła maź. Smakowała jak krew. Ainar odchylił głowę do tyłu i zobaczył, że zad, który niedawno przypominał mu o rodzinnych stronach, o mało nie posłał go na wieczną biesiadę we dworze boskiego Valfuda. Na szczęście koń przewrócił się na bok, przy okazji łamiąc ramę włóczyska. Zwierzę próbowało wymachiwaniem kopyt przegnać śmierć. W boku i szyi klaczy sterczały strzały. Ciche rżenie powoli zmieniało się w niemal ludzki charkot.

Leżąc na plecach, Vaering więcej słyszał, niż widział. Zorientował się wszakże, że czarni dobyli broni i ukazując swoją nocną, tchórzliwą naturę, ukryli się za wozem ciągniętym przez woła i za garbatymi

końmi. Ali, którego Skald potrafił już rozpoznać po głosie, wykrzykiwał rozkazy w nieznannej poecie mowie.

Kiedy klacz w końcu zdechła, między wzgórzami zapadła cisza.

Nie trwała długo. Ainar usłyszał tętent koni, dzikie wrzaski i świst strzał, które wbiły się w ziemię niebezpiecznie blisko. Potem doszło go bitewne zawołanie czarnych. Początkowo myślał, że sam Göllnir ma mu uszy pijackimi jękami lub zdrowy rozsądek mści się za morzenie go głodem i pragnieniem. Ale nie. Blamadowie wyraźnie śpiewali „mniam, mniam”. Widać nie on jeden miał ochotę na przekąskę.

Czarni wojownicy zaczęli tupać i uderzać włóczniami o ziemię, wybijając jednostajny rytm, który łupał w zbolałej po przepiciu głowie Skalda. Pieśniarz zaczął na poważnie rozważać odrąbanie sobie czerepu. Szarpnął się ponownie i tym razem udało mu się złamać jedną z zerdzi, uszkodzoną już podczas upadku. Nie przyniosło mu to wolności, ale mógł przynajmniej obrócić się na bok i przyjrzeć nadchodzącemu starciu.

Jeden z napastników wysforował się przed resztą. Ainar był pewien, że pędzi na niego kolejny stwór z gardarikańskich skazek. Wysoki na osiem stóp, wyróżniał się czterema nogami i dwiema głowami – końską i ludzką. Ta druga miała skośne oczy, skórę koloru moczu, a wieńczyła ją futrzana czapa. Dwie ręce stwora szyły z pokrzywionego, najwyraźniej więc złamanego, łuku. Strzały trafiały jednak w cel, mimo iż pokraka cwałowała.

Przez chwilę pieśniarz myślał, że chyba jednak wypił za dużo i jeszcze nie całkiem wytrzeźwiał, ale porzucił tę niemądrą myśl, gdyż napastnik był zbyt rzeczywisty, by mógł się okazać pijacką wizją. Zrozumiał zatem, że musi mieć przed sobą osławionego Huna lub Tattara, konio-człowieka, owoc podłego związku mężczyzny z klaczą, który krew wrogów pije na śniadanie, a mleko z własnych wymion na kolację.

Konio-ludzi przybywało. Rozdzielili się zaledwie ćwierć mili przed wozami. Część pognała dalej, wprost na Blamadów, a reszta rozjechała się na boki, nie przestając strzelać z łuków. Ci, którzy szarżowali, trzymali w dłoniach wygięte półksiężycowato miecze i skórzane tarcze.

Czarni nie czekali, aż Tattarzy ich dopadną. Cisnęli włóczniami o szerokich grotach.

Trzy potwory, trafione w końską pierś, zwały się na ziemię. Reszta wpadła między Blamadów. Pobrękiwania żelaza i odgłosy łamanych

kości zagłuszyły jęki rannych i zawodzenia konających, a wszystkie razem zwały się w jeden znany na całym świecie – od Lodowej Wyspy do Indialandu – ogłós bitwy.

Fylgja, boska dawczyni szczęścia, uśmiechnęła się do Ainara. Tattarzy mieli ręce pełne krwawej roboty i nie zwracali na niego uwagi. Przy najmniej na razie. Walczący mieszały się ze sobą, tworząc przedziwny korowód bajkowych postaci. Odziani w kocie skóry czarni i skośnoocy koczownicy w kaftanach wymieniały uprzejmości zakrzywionymi mieczami – poeta przypomniał sobie, że nazywano je szablami – oraz drewnianymi pałkami, włóczniami i toporkami o wąskich ostrzach. Pomiedzy nimi przemykały konie w paski i żółte ogiery z garbami.

Pozostali konio-ludzie z łukami nadal krążyli wokół pola bitwy, z bezpiecznej dla siebie odległości szyjąc w Blamadów. Czarnych wojowników nie było jednak łatwo powalić – wielu walczyło mimo strzały w udzie czy plecach, a umierało dopiero wtedy, gdy ich ciała zostały posiekane lub tak naszpikowane pierzastymi pociskami, że zaczynały przypominać jeża. Ta nadludzka wytrzymałość nie była jednak w stanie zrównoważyć liczebnej przewagi koczowników. Wtedy Ali pokazał swe prawdziwe oblicze.

Dotychczas walczył nie mniej zajadle niż pozostali wojownicy, teraz jednak dał się ponieść bojowemu uniesieniu, zupełnie jakby był hamramirem czy berserkiem, z których to szalonych wojowników słygnęła Północ. Przełożył włócznię do lewej ręki, a z ziemi podniósł kolejną. Podrzucił obie, pochwycił je w połowie drzewca i pobiegł w kierunku dwóch konio-ludzi siejących spustoszenie wśród Blamadów.

Ainar przysięgła na włócznię Göllnira, że źrenice Alego poszerzyły się dwukrotnie, a oczy zapłonęły jak u serklandzkiego dżina. Strzały tylko otarły się o odsłoniętą pierś Czarnego Berserka, jakby jego ciało stało się odporne na ciosy. Doskoczył do pierwszego stwora i wbił obie włócznie w jego ludzką pierś. Ciosy rozerwały poczwargę na pół. Część człowiecza poleciała dobre pięć stóp do tyłu, a część końska stanęła dęba.

Ali obrócił się w kierunku drugiego Tattara i bez broni pognał wprost na niego, jakby chciał wziąć stwora na rogi niczym żubr. Tuż przed przeciwnikiem zmienił jednak kierunek biegu. Minął o pięć koński łeb, uchylił się przed płaskim cięciem szabli i uderzył barkiem w poczwargę. Obaj runęli na ziemię. Ali, który znalazł się na wierzchu, zaryczał zwycięsko, koński łeb potwora zarżał, niezadowolony z cię-

zaru berserka, a skośnooka głowa, ściśnięta w czarnych łapach, zawyła. Wszyscy zamilkli, gdy suchy trzask obwieścił złamanie kręgosłupa.

Ainar odwrócił wzrok od walczących. Miał własne kłopoty. Jego fygja wyróżnęła go w pysk, zabierając ze sobą szczęście: obie strony walki przypomniały sobie o nim, i to równocześnie. Z przeciwnych stron pędzili ku niemu i Blamad, i Tattar.

Ten pierwszy był bliżej, ale ten drugi biegł szybciej dzięki końskim nogom. Obaj krzyczeli i wywijali żelazem. Skald nie rozumiał ich słów, ale wąpił, by go pozdrawiali.

Wygrał czarnoskóry, choć wyprzedził wroga tylko o długość konia. Ciął mieczem dwa razy. Trafił pod pachę i między nogi pieśniarza. „Tylko nie tam” – pomyślał poeta, spodziewając się kolejnej dawki bólu. Ten jednak nie nadszedł, a zamiast niego Vaering poczuł, że może się ruszyć. Liny zostały przecięte.

Stoczył się z leża na trawę, unikając kopyt potwora. Wybawca przeskoczył nad Skaldem i pchnął konio-człowieka w pierś. Zwierzę zaryło kolanami o ziemię i zrzuciło jeźdźca z siodła.

Dopiero teraz, patrząc na Huna z bliska, Östmad przekonał się, że jego podejrzenia były słuszne. Nie miał do czynienia z dziwnym stworzeniem, ale z niskim człowieczkiem, który tak wprawnie dosiadał kuca, że zdawał się tworzyć z nim jedność. Tattar zadziwiająco niezgrabnie podnosił się na nogi, z pewnością więc bardziej przywykł do jazdy w siodle niż do chodzenia po ziemi.

„Kto marnuje czas na rozważania, umrze jako starzec” – mawiała babka Ainara, a że poeta zwykł korzystać z jej rad, odegnał myśli o naturze napastnika. Miał poważniejsze zmartwienie – żółtolicy pokurcz biegł w jego stronę i wcale wprawnie machał przy tym szablą.

Pieśniarz uśmiechnął się brzydko. Podniósł z ziemi kawał drzewca złamanej włóczni i przywitał napastnika z całą serdecznością Północy. Zamachnął się kijem, trafiając koczownika w ramię. Skośnooki zawył, ale się nie poddał. Odwagi mu nie brakowało, choć z pewnością nigdy nie walczył z tak wysokim przeciwnikiem. Przy Ainarze wyglądał jak mały ogar obszczekujący niedźwiedzia.

Hun nie docenił zasięgu ramion Skalda i zapłacił za to najwyższą cenę. Składacz strof zdzielił go po głowie, następnym ciosem złamał przedramię, a w końcu wbił ostry koniec drzewca w brzuch wroga. Nim pokurcz padł na ziemię, poeta wyszarpnął mu szablę z dłoni.

Zważył nową broń w dłoni i zakręcił kilka młyńców. Pomyślał, że to całkiem poręczne żelazo, choć stanowczo za lekkie. Poszukał wzrokiem swojego wybawcy. Blamad walczył kilka kroków za nim, odpierając ataki dwóch pieszych Tattarów.

Ainar podszedł do oswobodziciela i uderzył lewym sierpowym. Pięść trafiła w czarną skroń i obaliła dzikiego, nim ten zdążył się zdziwić takim obrotem sprawy. Skald pamiętał jego twarz. To właśnie on powalił go wczoraj pod skytningiem – Vaering był tego prawie pewny. Prawie, bo wszyscy czarnoskórczy wydawali mu się tacy sami.

Po karze przyszła pora na krztynę wdzięczności – nie zostawił porywacza na łasce wrogów. Przyjął obronną postawę i wyzwiał Hunów do walki, plując im pod nogi. Sieknął z prawej, ciął z lewej, odskoczył, pchnął, uderzył z góry. Niscy ludzie padli martwi, pocięci jak mięso w potrawce.

Pieśniarz był dobry w zabijaniu. Dziś jednak nie marnował czasu na prawdziwą szermierkę ani na tanie sztuczki – wywijanie młyńców czy płytkie, szerokie cięcia, po których krew sikała jak woda z gejzeru – choć broń, którą właśnie dzierżył, świetnie się do nich nadała. Dziś uderzał po östlandzku, czyli tak, by zabić jednym ciosem. Celował w przechodzące przez szyję, wewnętrzne strony rąk i tył nóg linie życia oraz w krzyż śmierci, którego poprzeczna belka biegła między ramionami, a pionowa od głowy do pępka.

Odwrócił się ku kolejnym napastnikom. W lewej ręce trzymał kawałek drzewca włóczni, w prawej szablę. Dzięki takiej broni i ogromnej przewadze zasięgu ramion nakarmił tego dnia jeszcze wiele kruków i wron. Jednego Tattara sieknął przez twarz, innemu uciął ucho wraz ze sporym kawałkiem skóry. Uchylił się przed cięciem i uderzył drzewcem w skośnookie oblicze. Zęby, razem z zakrwawionymi korzeniami, spadły na żółtawą trawę.

Szykował się właśnie do dobicia pokurcza, gdy ujrzał nowego przeciwnika. Nie dało się go nie zauważyć, choć nie był żadnym wielkim jötunem ani trollem. Wyłonił się jakby spod ziemi w otoczeniu dymu i kurzu, a towarzyszył temu huk przywodzący na myśl grom z jasnego nieba. Z tej zasłony wyłoniły się dwie kulki, które potoczyły się pod nogi dwóch najbliższych stojących Blamadów i wybuchły czarnym dymem. Dało się wyczuć siarkę. Wojownicy potarli oczy, popatrzyli po sobie i zawyli. Ich źrenice się powiększyły, oczy zrobiły czerwone, a po policzkach po-

ciekły smoliste łzy. Jeden z czarnych rzucił się na ziemię i zaczął walić głową o kamień, aż pękła mu czaszka. Drugi upuścił włócznię i trzymając się za głowę, pobiegł w stronę ściany kurzu. Na spotkanie nadleciał nóż, który przebił mu szyję na wylot.

Dym powoli się rozwiewał i Ainar mógł w końcu przyjrzeć się wrogowi. Czarownik był karłem, a jakby samo to było za mało upokarzające, złośliwi bogowie obdarzyli go jeszcze garbem i prawie całkowitą łysiną. Prawie, bo na czubku głowy nosił kosmyk siwych włosów związanych w kucyk, który opadał na bok, przysłaniając lewe ucho. Grube, czarne wąsy odciągały uwagę od szerokiego nosa i małych, sprytnych oczu. Krępy tułów podtrzymywały masywne, choć krzywe kulasy. Grube jak bochenki chleba pięści trzymały długą laskę przyozdobioną u góry wiązką suszonych ziół. Zgarbiony czarownik podpierał się kijem, choć Ainar miał wrażenie, że dziwak i bez niego by sobie poradził.

Pieśniarz wiedział, że z takiej odległości nie powinien dostrzec aż tylu szczegółów, ale mógłby przysiąc na boskiego Jednorękiego, że gdy karzeł wbił w niego swoje świdrujące oczy, tęczęwki pokurcza zmieniały kolor – z piwnych przez zielone na niebieskie i z powrotem. Poeta usłyszał też wyraźnie jego głos:

– Krew w ciemności, ciemność we krwi, lękliwe sny. Nawet miód, mak polny i Jomali nie złamią tej kłątwy.

Żeby nie było wątpliwości, do kogo mówi, wskazał Ainara różdżką. A potem zniknął – tak samo nagle, jak się pojawił, i w towarzystwie takiego samego dymu i huku.

Skald podejrzewał, że karzeł zapadł się pod ziemię, podobnie jak mieli to w zwyczaju jego mali kuzyni z zaśniewzonej Północy. Razem z czarownikiem ulotnili się ostatni Tattarzy, choć nie zrobili tego równie niepostrzeżenie. Pognali w kierunku, w którym wiatr rozwiewał dym. Zniknęli za wzgórzami. Zostawili poważnie rannych braci, a ci szybko skonali lub dobił ich Ali.

W polu pozostali pieśniarz, czterech Blamadów, koń w paski i dwa garbate ogiery.

3

Obudziło go drugie pianie koguta. Przypomniwał sobie sen, ciągle ten sam, od wielu nocy. Tonął w mieniących się kolorami oczach karła, a potem pływał w oceanie krwi. Z tej wielkiej wody wynurzyła się kobieta, której nie potrafił rozpoznać, bo cała była umazana czerwoną mazią. Chwyliła go za szyję i tak długo topiła we krwi, aż oczy Skalda wyszły na wierzch, a brak powietrza rozsadzał czaszkę bólem. W tym miejscu zawsze się budził, sprawdzał, czy przeklęty księżyc nadal ucieka przed wilkiem, a kiedy się upewnił, iż noc wciąż nie zmieniła się w dzień, zapadał w niespokojną drzemkę, kolejny raz przeżywając koszmar.

Odrzucił od siebie nocne mary. Rozejrzył się. Leżał przykryty skórami przy dogasającym palenisku. Przez wąskie okienko wpadały poranne promienie słońca, ale w izbie i tak było mroczno. Od razu wróciły wspomnienia minionych tygodni. Znajdował się w Dyragardzie, posiadłości Tirusa Wielkiego.

Zajął się porannymi czynnościami. Wyplukał usta i splunął do paleniska. Wysikał się na popiół. Z cebrzyka zaczerpnął garść wody i przeemył twarz.

– Nawet zwierzęta nie sikają we własnych norach. A podobno to my stoimy ponad czworonogami.

– Witaj, Ali. Nie zauważyłem cię w tych ciemnościach.

Ainar nie mógł się oprzeć pokusie, by po raz kolejny nie zadrwić z koloru jego skóry. Śmieszyły go wyniosłe miny, którymi Blamad chciał pokazać, że stoi ponad szyderstwami, choć w rzeczywistości ukrywał wściekłość. Poeta zdążył polubić dziwnego berserka z Blalandu, który tak wiele wiedział o świecie. Przez tych kilka tygodni, spędzonych na podróży między Holmgardem a Dyragardem, wiele rozmawiali. Mieli na to mnóstwo czasu, gdyż Blamad uparł się, by przemieszczali się łądem, zamiast vaerińskim zwyczajem wykorzystać rozległą sieć rzeczną wschodnich krain do wygodnej podróży łodzią.

– Tirus chce cię zobaczyć.

– W końcu poznam tego osławionego władcę tajemniczej krainy Glaesir. Jeszcze nie miałem okazji podziękować mu za wygodną podróż i życzliwą gościnę.

– Nadal się gniewasz o te dwa dni na włóczyisku?

Skald nigdy niczego nie wybaczał. Babka mawiała mu: „Za policzkiem zawsze podąża włócznia”. Podarujesz raz, a wrogowie dowiedzą się, że jesteś słaby, i zaatakują z całą mocą. Ale jego gniew na Blamada znacznie złagodniał. Po walce z Tattarami porywacze oddali mu broń i zezwolili, by podróżował wolny albo, jak wołał myśleć pieśniarz, nie ośmielili się związać go ponownie. W każdym razie spędził ten czas nie najgorzej, choć nie pozwolono mu osiodłać żadnego z pasiastych koni, które prowadzili. Ali twierdził, że nie nadają się do dosiadanania, a miały jedynie uświetnić ich poselstwo, które udało się do Holmgardu, aby zawrzeć z tamtejszym konungiem nową umowę handlową.

– Po prostu o tym pamiętam. Jeden z was już za to zapłacił. Muszę jeszcze tylko rozliczyć się z waszym panem.

– Nie radzę przedkładać tej sprawy Tirusowi. On nie znosi bezczelności.

Wyszli z domu. Do Dyragardu przybyli poprzedniego wieczoru i już wtedy Ainar zdążył się zorientować, że tworzyły go dwa gardy, zwane przez miejscowych grodami. Ten górny, gdzie obecnie się znajdowali, ulokowany został na rozległym wzgórzu, a dolny – u jego podnóża. Oba otoczone były systemem wałów, wieżyczek i palisad, tak że razem przypominały wielkiego śnieżnego bałwana, którego każdą kulę nabito drzazgami, ostrzegając najeźdźców, że mogą zaznać przyjemności wszetecznego nidinga, jeśli zdecydują się szturmować stolicę Glaesiru.

Ali wskazał mu ręką drogę, choć było to zbyteczne. Vaering łatwo się domyślił, dokąd jest prowadzony. Konungowie zawsze mieszkali w największym budynku własnej posiadłości, dając poddanym jasno do zrozumienia, komu ci są winni posłuszeństwo. Władza potrzebuje ukazywania potęgi rządzącego, a tutejsi ludzie byli chyba bardzo krnąbrni, skoro musieli widzieć jej aż tyle.

Siedziba konunga, czyli wewnętrzna twierdza, zwana tutaj kremlem, mieściła się w obrębie górnego gardu, lecz ulokowano ją na kolejnym wzniesieniu, tym razem sztucznym, usypanym przez człowieka na kształt czworoboku. Ściany tego ogromnego kopca ukształtowane

zostały niczym wysokie schody, przynajmniej tak to wyglądało z daleka. Gdy podeszli bliżej, Ainar przekonał się, że stopnie, których było pięć, wycięto w ziemi, a ich lica wzmocniono drewnianymi balami, tworzącymi pięć coraz wyżej położonych palisad. Każdy otoczony drewnianymi ścianami poziom miał mniejszą powierzchnię od poprzedniego, a wszystkie połączono drabinkami i trapami, by można się było do nich dostać od góry twierdzy. To wszystko składało się na potężne umocnienia, z których zdobyciem miałby problem sam Göllnir. A sądząc po odgłosach dobywających się z przestrzeni między schodami, Bóg Krzyku byłby mocno zainteresowany tym miejscem.

Pieśniarz odruchowo chwycił za rękojeść miecza, gdyż ryk przypominający pryhanie stu rozdrażnionych kotów nakazywał ostrożność. Ali pokazał swoje spiłowane zęby, przybierając minę, która była kpiną z uśmiechu.

– Nie ma się czego bać. O tej porze dnia pieszczochy Tirusa są zamknięte.

Östmad popatrzył lekceważąco na Blamada, nie racząc go odpowiedzieć. Czarny wojownik nie wydawał się tym przejęty.

– Nie są to zwykłe umocnienia obronne. Mówiłem, że Tirus jest wielkim czarownikiem. Potrafi okiełznać każde zwierzę, nawet dziką bestię. Na wszystkich pięciu poziomach kryją się niespodzianki dla głupców, którzy mieliby chętkę zaatakować to miejsce.

Samo wejście do twierdzy też nie wyglądało zachęcająco dla napastników. Zbudowano nad nim drewnianą wieżę, a wiodła do niej ubita droga, pnąca się ukośnie po północnej stronie kopca i tworząca coś na kształt grani, która górowała nad ziemnymi czworobokami. Kiedy minęli strażników i weszli na trakt, poeta mógł dokładnie obejrzeć to, o czym mu opowiadał Czarny Berserk.

– Na pierwszym poziomie ustawiono klatki dla psów. Zamknięte są w nich wielkie i krwiożercze ogary ze wszystkich stron świata. Są tam hundy z Północy, o krótkich ogonach i długich jak palce zębach, są iryjskie wilczarze o włochatej sierści, są nawet śmiejące się kundły o pręgowanej sierści, które sprowadzono z moich rodzinnych stron. Karmimy je surowym mięsem raz na dwa dni, by zawsze były głodne. Pierwsza palisada nie jest może wysoka, bo dorosłemu mężczyźnie sięga ledwie do piersi, ale to wystarczy, by zatrzymać hundy, gdy każdego wieczoru wypuszczamy je z klatek na spacer, a zarazem na polowanie w obrę-

bie najniższego poziomu umocnień. Ludzie skazani za żmijowy język – kłamstwa i oszustwa w handlu – są wrzucani właśnie tutaj, a czas, jaki muszą spędzić z psami, zależy od wagi ich przewiny. Ale tylko jedna osoba przeżyła tu dłużej niż sto uderzeń serca.

– Pewnie ich opiekun.

– Te bestie nie mają opiekuna. Kiedyś miały, ale rozerwały go na strzępy, niezadowolone z ilości mięsa, które im przynosił. Od tej pory karmi się je, podając jedzenie przez szpary w klatkach. Tylko mnie jednemu udało się przetrwać w tej zagrodzie.

– Wiedziałem, że nie należy wierzyć czarnemu.

– Wprost przeciwnie. I wtedy to udowodniłem. Gdy pierwszy raz stanąłem przed Tirusem, pochwaliłem się, że w sto uderzeń serca nawet się nie spoczę w tej jego psiarni. Kagan uznał, że kłamię – i tak tu wyłądowałem. Wystarczyło, że jeden z psów mnie ugryzł, a Szalony Odyniec nappełnił moje ciało taką *aēšma*, szaleńską walką, że nie było dość mocnej klatki, by bestie mogły się przede mną schować. A gdy zobaczyły, jak łamię kręgosłup największemu ogarowi, uciekły, skomląc niczym szczeniaki. Sam Tirus poprosił, bym opuścił zagrodę. Swoim czynem zapoczątkowałem zresztą nowy zwyczaj. Jeśli ktoś chce udowodnić, że mówi prawdę, wystarczy, aby spędził z psami owych sto uderzeń serca. Tylko nie myśl, że liczą się uderzenia wystraszonych na śmierć skazańców. Sam konung je odmierza, a jego serce bije bardzo wolno.

Poziom dla psów porastała trawa. Choć obecnie na wybiegu nie było żadnych zwierząt, Ainar wyraźnie widział wydeptane przez nie ścieżki i porozrzucane kości. Niektóre z nich rzeczywiście należały do ludzi.

– Teraz są zamknięte po drugiej stronie grodu. – Ali jakby czytał w jego myślach. – Musimy je trzymać z daleka od mieszkańców drugiego poziomu.

Kolejny czworobok wyglądał prawie identycznie jak pierwszy – miał piętnaście stóp szerokości i pokrywało go zieleni godna łąki. W przeciwieństwie do pierwszego poziomu rosły tu krzewy.

– W tej części trzymamy wilki. Są tu ulfy z Północy, białe basiory z krainy lodów i szare wadery z okolicznych lasów. Wszystkie wściekle i szalone jak wilkołaki. Wypuszczamy je tylko nocą, bo w dzień są ospałe.

– Mądre zwierzęta.

– No tak. Zapomniałem, że dla skaldów lenistwo jest zaletą. Ale nie tutaj. Te podłe drapieżniki czekają na tych, którzy działają w ukryciu, czyli złodziei. Gdy ktoś zostanie schwytyany za kradzież, wrzuca się go

tu na całą noc. Kto zakrada się po zmierzchu do domu sąsiada, kończy z bestiami, nie doczekawszy świtu.

– Tutaj też harcowaleś? Czarny to w końcu kolor nocy.

– Nie zdołasz mnie zdenerwować. Szalony Odyniec zsyła na mnie wściekłość walki tylko wtedy, kiedy ja sam tego chcę. Tym odróżniam się od ludzi słabych na umyśle. Ale wieść niesie, że znalazł się śmieciek, który przeżył całą noc na tym poziomie. Przebywał tu krótko, a ludzie mówią, że był szalonym wojownikiem, i to takim, którego u was nazywają ulfhedinem. Ale nie był za nic skazany. Po prostu poprosił Tirusa o nocleg w tym miejscu, mówiąc, że ludzie są dla niego za głłośni. Za głośni! Dasz wiarę?

Słyszac donośny krzyk Blamada, Ainar był w stanie dać wiarę.

– Tamtej nocy wilki wyły ponoć tak głośno – opowiadał dalej przewodnik – że nikt w podgrodziu nie zmrużył oka. A o świcie ulfhedin pojawił się przed obliczem Tirusa, podziękował za gościnę i jakby nigdy nic wyruszył w dalszą drogę.

Z tej odległości Skald dostrzegł tylko zagrodę dla zwierząt, a raczej jej jedną ścianę, ciągnącą się od palisady do lica kolejnego stopnia. Zbudowano ją z poprzecznych belek, między którymi pozostawiono odstępy szerokie na dłoń.

– Surowe macie tu prawa, skoro zabijacie każdego złodzieja.

– Nie każdego. Za mniejsze przewiny, powiedzmy za przywłaszczenie sobie naszyjnika lub kliku monet, złodziej musi oddać na łaskę wilków rękę, którą dokonał zbrodni. Wkłada ją do klatki i czeka, jaką jej część wezmą dla siebie bestie.

Poeta obiecał sobie większą ostrożność. Srebrna zapinka, którą mioniej nocy znalazł w domu gościnnym i ukrył w zawieszanej na szyi sakiewce, zaczęła mu ciążyć.

– A za trzecimi umocnieniami? Jakie zwierzęta tam trzymacie?

– Ten poziom przeznaczony jest dla władców puszczy, gór i lodu – brązowych niedźwiedzi i białych misiów z krain wiecznego śniegu. Przyznam, że to moje ulubione zwierzątka. W moich rodzinnych strojach ich nie mamy.

– I pewnie zaraz mi opowiesz o wielkim wojowniku, który za nic sobie mając smród z ich pysków, wziął się z nimi za bary.

– Nie. Choć wielu miało na to szansę. Czasem Tirus wrzuca tam zabójców. Ale tylko ludzi miecza, którzy zabili przeciwnika w bójce lub z zemsty, nie mając na nią pozwolenia kagana. Wojownik zasłu-

guje na śmierć w walce. Zwykłych morderców po prostu wieszamy, bo od ich ścierwa te dumne bestie mogłyby się pochorować. Ale jedna osoba rzeczywiście przetrwała z nimi całą noc. Mały chłopiec, wrzucony tu przez inne bachory, które przekradły się po zmroku na ten poziom. Rano znaleziono go w głębokiej dziurze, do której niedźwiedzie nie mogły sięgnąć.

Widać było, że misie cieszą się większym szacunkiem niż wilki i psy – na wybiegu miały zwalone pnie drzew i kilka sadzawek do zabawy.

– Wypuszczamy je popołudniami, kiedy są najbardziej ożywione. Teraz pewnie śpią w klatkach przy zachodniej ścianie. Dokładnie na przeciwko mieszkańców czwartego poziomu. Kotów.

– Brzmi groźnie.

– Śmiejesz się, bo największym kotem, jakiego widziałeś, był pewnie ryś. A tutaj chowamy olbrzymie kocury w paski, ludojady z grzywami i czarne bestie z żółtymi oczami. Mamy z nimi trochę problemów, bo bardzo wysoko skaczą. Większość czasu spędzają więc w klatkach, gdyż jest tylko jedna osoba, która potrafi wyprowadzać je na spacer i powstrzymać przed ucieczką.

– To już wiem, skąd ty i twoi ludzie bierzecie swoje skóry.

– Nic nie wiesz, Östmadzie. Koty są naszymi wrogami. My je zabijamy, nie spacerujemy z nimi. W moich rodzinnych stronach jest taki zwyczaj: aby chłopiec stał się mężczyzną, musi upolować grzywatego kota i jego skórą okryć swoją pierś. Ale od kocurów zgromadzonych przez Tirusa trzymamy się z daleka. To nie są zwykłe zwierzęta. Są szalone. Nie walczą między sobą, choć pochodzą z różnych stron świata, i wydają się tworzyć stado, którego przywódcą jest człowiek.

– Dreng od spacerów, zgaduję.

– Tak. Innych ludzi, którzy są w pobliżu, zagryzają, i to działając razem, choć z natury są samotnymi łowcami. Ciała ogryzają do kości, a gdy są naprawdę głodne, pożerają nawet gnaty.

– Interesującą osobą musi być ten kociarz.

– To prawda. Ale nie nazywaj go tak w jego obecności, jest to bowiem sam kagan Tirus, największy spośród czarowników i najwspanialszy zaklinacz kotów. A swoje pupilki karmi tylko tymi, których czyny lub słowa uderzają prosto w niego.

Pieśniarz zaczął żałować, że nie widzi tych niezwykłych zwierząt. Mógł tylko patrzeć na ich wybieg w połowie porośnięty trawą,

a w połowie pokryty piaskiem. Konung wzbudzał w nim coraz większą ciekawość.

– A piąty poziom? Trzymacie tam jednorożce?

– Tam zamknięte są najniebezpieczniejsze spośród stworzeń. Ale o nich opowiem ci później. Musimy się pospieszyć. Tirus nie będzie na nas czekał cały ranek.

Skald zdał sobie sprawę, że zasłuchany w opowieść Alego zatrzymał się dopiero na szczycie kopca, przed wejściem na silnie umocniony kreml. Musieli tak stać ładną chwilę, gdyż strażnicy przy bramie niecierpliwie przestępowali z nogi na nogę. Poeta rzucił im wyzywające spojrzenie. Berserk machnął ręką w ich stronę, a wtedy wyprostowali się i otworzyli masywne odrzwia.

Czarny i Vaering pokonali przejście pod drewnianą wieżą i wkroczyli do dżungli.

Östmad nie miał pojęcia, co znaczy to słowo, ale Ali, który go użył, pospieszył z wyjaśnieniami. Miał to być gęsty i wilgotny las zamieszany przez mnóstwo dziwnych zwierząt – czyli właśnie taki las, jaki mieli przed sobą. No, może nie do końca. Brakowało tu wysokich drzew, ale różnokształtne krzewy, kolorowe kwiaty i wijące się między nimi strumyczki tworzyły niezłą namiastkę dżungli. A do tego były tu także zwierzęta – pozamykane w zagrodach lub chodzące swobodnie: konie w paski, osły z długimi szyjami, przerośnięte szczury, kury wielkie jak koń i człekokształtne futrzaki. Wszystkie żerowały w ciszy, jakby i one wsłuchiwały się w muzykę, która dotarła do uszu Ainara. Nigdy dotąd nie słyszał stworzeń wydających tak czyste dźwięki.

– To rajskie ptaki. Samemu Muhammadowi śpiewają podobne – wyjaśnił Ali.

Pośrodku tych dziwów stał dom. Okazały drewniany gmach kryty gontem. Od razu było widać, że to prawdziwy dwór, mieszczący jedną długą salę przeznaczoną i do ucztowania, i spania. Przynajmniej jedna rzecz przypominała tutaj Skaldowi rodzinne strony.

– Ten twój Tirus wie, jak należy ucztować. Macie hallę godną konunga z Północy.

– Tak. Miód i ale leją się w niej strumieniami. W naszej gridnicy mieszkają i bawią się przybocznicy Tirusa.

Wzmianka o miodzie rozbudziła pragnienie przybysza z Północy, ale nie halla była ich celem. Poszli dalej, traktem wyłożonym belkami.

Stopniowo pieśniarz dostrzegł coraz więcej wyposażenia typowego dla ludzkich siedzib. W obejściu znajdował się skład na towary, a obok piwniczka, skrzętnie ukryta za krzewami, oraz ogromne palenisko z kotłem, osłonięte od roślinności ogromnymi głazami. Przy drodze stał wóz, a do palików koło domu przywiązane były dwa najzwyczajniejsze konie. Poecie zdawało się, że słyszy beczenie kozy, zaś odgłos zde-
rzających się mieczy poznałby wszędzie – był zatem pewny, że gdzieś w dżungli walczą drengowie. Każdy bitny grid, drużyna przyboczna, musiał dużo ćwiczyć.

Trakt kończył się zwodzonym mostem zawieszonym nad głębokim rowem. Na jego dnie Vaering zobaczył powbijane zaostrzone żerdzie. Jakkolwiek bajkowo wyglądał ten gród, zbudowano go jednak do obrony. Mieli przed sobą dom Tirusa Wielkiego.

Mur otaczający czworoboczną masywną wieżę był zakończony drewnianą konstrukcją przykrytą dachem. W podobny sposób zbudowano kamienną wieżę, ale by się o tym dokładnie przekonać, musieli przejść obok wspartych o włócznie strażników, strzegących przejścia pod łukiem portalu w murze obronnym.

Wieża była najwyższym budynkiem w okolicy i zajmowała większą część otoczonego umocnieniami placu. Z bliska okazała się znacznie szersza niż baszty, które Skald widział na dalekiej Wyspie Irów, i z pewnością nie pełniła tylko funkcji strażnicy.

Ali wprowadził go do środka i po krętych schodach zaprowadził do izby znajdującej się na ostatnim piętrze. Powitała ich gadająca wrona, siedząca na belce pod sufitem.

*Kra, kra, kra... gana witać,
kra, kra, twoja mać.*

W kierunku ptaka poleciała kość, ale minęła go o włos. Wrona zakrakała i wyfrunęła przez okno.

– Wybaczcie tę nieuprzejmość. Łatwiej nauczyć ludzkiej mowy niż dobrych obyczajów.

Mężczyzna, który wypowiedział te słowa, był kolejnym pokurczem, którego Vaering spotykał w krainach Wschodu. Od pieśniarza był niższy o dwie głowy, a przy Alim wyglądał jak mały i do tego bardzo szczupły chłopiec. Nosił luźny zielony kyrtil i szerokie wełniane spodnie. Włosy

o barwie słomy i niebieskie oczy zdradzały pochodzenie z Północy – podobnie jak jego nienaganna wymowa, którą mógł opanować jedynie ktoś, kogo przodkowie urodzili się wśród fiordów Noregu.

– Tirus... Wielki, jak mniemam.

– Zgadza się, Ainarze. Ale dlaczego się zawahałeś? Czy wydaję ci się nie dość wielki?

– O wielkości mówią czyny, nie wzrost.

Skald zawsze miał w rękawie kilka zgrabnych powiedzonek. Ludzie lubią ich słuchać i powtarzać sobie, myśląc, że są zaklęciami, dzięki którym ich życie się polepszy. Ale to tylko puste słowa, dające głupcom uludę mądrości.

– Dobrze powiedziane. Pewnie jakiś konung z Północy nagrodziłby cię złotym pierścieniem, ja jednak znam się na pochlebcach zlizujących miód z mojego tyłka. Wiem, że jestem niski. Poznanie samego siebie to pierwszy krok do mądrości.

Kagan, może nawet o tym nie wiedząc, stąpał po cienkim lodzie. Ainar poczuł się urażony, ale babka uczyła go, że nie można zabijać gospodarza zaraz po przekroczeniu progu jego domu. Przełknął zniewagę, choć nie miał zamiaru o niej zapomnieć, i uśmiechnął się przebiegle.

– A ukrycie tej prawdy to pierwszy krok ku władzy.

– Ach, wspaniale! Rzeźnik Irskmadów nie jest głupcem. Mówiłem ci, Ali, że świetnie nada się do tego zadania.

Sława jak zwykle wyprzedzała poetę. Gdy na Wyspie Irów zabijał opata, nie przypuszczał, że przypiszą mu też spalenie, splądrowanie i wymordowanie połowy mieszkańców klasztoru. Ani tego, że stanie się to przyczyną powstania Irskmadów i ich wielkiej wojny z Finn-Gallami.

– Ale gdzie moja gościnność? Zjedzmy śniadanie.

W sali znajdowały się dwa stoły, ale nie mieli wątpliwości, przy którym należy zasiąść. Na tym mniejszym, ustawionym pod jednym z czterech okien, rozłożone były narzędzia o trudnym do odgadnięcia przeznaczeniu – szkła oprawione w drewno lub metal oraz przezroczyste minerały, które przypominały Östmadowi pomagający w morskiej nawigacji *sólarsteinn*, czyli słoneczny kamień.

Duży stół na środku pomieszczenia przedstawiał się o wiele ciekawiej. Leżały na nim chleb, ser i jaja. Stał też garniec piwa.

W sali Ainar nie zauważył więcej mebli ani ozdób. Dziwne to się wydało Skaldowi jak na siedzibę „wielkiego” kagana. Za to okna były

ogromne i w żaden sposób nie pasowały do obronnego założenia budowli. Tak samo zresztą jak piętro, na którym się znajdowali – całe zbudowane z drewna, a zatem łatwe do spalenia.

– Lubię tu przychodzić, by oglądać gwiazdy. No i całkiem niezły jest stąd widok na okolicę.

Pieśniarz pomyślał, że „całkiem niezły” to jest czterolatek, który jeździ konno – zaś widok z wieży aż zapierał dech w piersiach i wcale nie trzeba było podchodzić do okna, by go podziwiać. Doliny, lasy, skałpana w słońcu szeroka rzeka Itil i inne cuda przyrody, które Ainar potrafiłby pięknie opisać, gdyby akurat chciał uwieść dzierlatkę.

Wypił kubek piwa i nalał sobie kolejny. Wziął się do jajka. Po rozmiarze domyślił się, że musiała je znieść jedna z konio-kur, które spotkali po drodze. Skorupkę miało obsmarowaną sosem szafranowym, a w połowie wysokości było obwiązane jakąś plecioną ozdobą z trawy. Całość nie wyglądała zbyt apetycznie.

– Do rzeczy. Po co mnie tu wezwałeś? – rzucił niby od niechcenia, stukając ręką pięścią noża w niezwykle twardą skorupkę na czubku jajka.

– Gdy tutejsi ludzie się do mnie zwracają – uprzejmym tonem skarcił go gospodarz – zwykle używają słów „kaganie” lub „konungu”.

– To zrozumiałe. Jesteś ich władcą.

Tirus zmarszczył czoło. Ali, idąc śladem swojego pana, też się naburmuszył i położył dłoń na rękojeści krzywego miecza. Na tym jednak poprzestał, gdyż twarz kagana rozpromieniła się w uśmiechu, a on sam wyciągnął się wygodnie na ławie. Czarny Berserk znów przywdział maskę obojętności i wrócił do jedzenia sera.

– Zuchwały jak młody wilczek. Już zapomniałem, że prawdziwy dreng z Północy przed nikim nie ugina kolan. Ten wasz słynny *tign*, honor wojownika... Ale przecież nawet w Östlandach są konungowie, a ty jako skald musisz być bardziej uległy wobec swych dobroczyńców. Bo przecież to królowie płacą ci za pieśni.

– Zawsze wielbię dawców złotych pierścieni.

Mały władca z wielkim przydomkiem zastanawiał się chwilę, po czym ściągnął jeden z dziesięciu pierścieni, które nosił na palcach, i położył go przed gościem.

– Taki może być?

– Prawdziwie królewski podarunek od hojnego konunga.

– Widzisz, Ali! Mówiłem, że złoto jest rękojmią lojalności.

Blamad pokiwał głową, uważnie wpatrując się w Skalda.

– Tak, mój kaganie. Najlepszej, jaką można kupić.

Vaering pozwolił, żeby cisza odpowiedziała wytatuowanemu wojownikowi. Tirus wyglądał na kogoś, kto dobrze wie, za co płaci.

– Skoro mamy już za sobą uprzejmości, może w końcu się dowiem, dlaczego twój człowiek oderwał mnie od rogu z piwem? Sześć tygodni tu jechałem, przez całą drogę walcząc z konio-ludźmi i znosząc towarzysztwo czarnego dzikusa z dziecięcych sag.

Ainar w końcu uporał się ze skorupką i z niepewną miną powąchał jajko. Nie wyczuł nic niezwykłego, uciął więc jego wierzchołek nożem. Zjrzał do środka i przetarł oczy ze zdumienia. W jajku siedział przestraszony kurczak, który zapiszczał i wyskoczył na stół. Pobiegł w stronę kagana, szukając u niego ratunku, ale poeta nie zamierzał podarować ptaszkowi tej zniewagi. Odruchowo zacisnął pięść i uderzył w stół, miażdżąc pisklaka.

Mały władca roześmiał się, a w jego ślady posłusznie poszedł Ali, choć jego śmiech przypominał raczej rechot żaby przypalanej na ogniu.

– Nigdy mi się to nie znudzi – powiedział konung, trzymając się za brzuch. – Powinieneś zobaczyć swoją minę. Pewny siebie Skald, który pyta i oczekuje natychmiastowej odpowiedzi. A tu – bach! – i z jajka wyskakuje kurczak.

Pieśniarz nie wiedział, co uczynić. Zrobiono sobie z niego jaja, i to za pomocą jaja. Ledwie kilka razy ktoś odważył się względem niego na podobny żart – i szybko tego żałował. Ale teraz? Bicie konunga nie wydawało się rozsądnym posunięciem, zrobił więc to, co wszyscy bezsilni pokrzywdzeni, których krew zalewa. Udał obojętność. Spokojnie wytarł rękę o spodnie i urwał kawałek chleba.

– Dziecinne zabawy – powiedział, gdy przełknął pierwszy kęs. – Myślałem, kaganie, że wezwano mnie tutaj w jakiejś poważnej sprawie. Z pewnością jest tu wiele stworów z dziecięcych opowieści, których kosztem możesz się zabawić, mnie zostawiając w spokoju.

– Tylko mi się tu nie obrażaj. Wszystko po kolei. Najpierw opowiem ci, jak przyrządzamy to jajko. Może się czegoś nauczysz. Gotujesz jajo struthia przez okres, jaki zajmuje przejście pół mili, a następnie je przepoławiasz, lecz bardzo ostrożnie, by skorupka jak najmniej popękała. Potem wyjmujesz stwardniałe żółtko, a do środka wkładasz żywego pisklaka i z powrotem łączysz połówki dania. To oczywiście

najtrudniejsze zadanie. Wymaga niezwyklej precyzji i pewnej kleistej substancji, której receptury ci nie zdradzę. Po połączeniu całość smarujesz mieszanką żółtka i szafranu, by nadać skorupce jednolity kolor, a ślad po rozcięciu maskujesz cienką plecionką z trawy.

– Ciekawe.

– Tylko dla kucharki. Mówię ci o tym jednak, byś celu misji, którą ci zlecę, nie zlekceważył, jak wcześniej zlekceważyłeś niezwykle wygląd tego jajka. Zadanie jest bardzo delikatne, a jego wykonanie będzie wymagać więcej pomyślunku, ostrożności i dokładności niż przygotowanie potrawy z żywym pisklakiem w środku.

Do tej pory Ainar obstawiał, że poproszą go o stworzenie drapy złożonej z kunsztownych wersów... Był w końcu odar smidem – kowalem słów i mistrzem miodowych mów, a choć Tirus miał całe armie poddanych, z pewnością nikogo o równie wielkich umiejętnościach poetyckich, co siłą ściągnięty gość. W końcu nie każdemu Göllnir, opiekun poetów, krzyknął do ucha. Ale teraz zaczynał wątpić we wcześniejsze domysły, a sam konung wzbudzał w nim coraz większe zainteresowanie. Niecodziennie spotyka się chodzącego z wielkimi kotami porkurcza, który na dodatek z zaciekawieniem gapi się w niebo i zna się na gotowaniu.

– Skaldowie są dobrzy w słuchaniu. I znają się na słowach, nawet tych, których znaczenie ukryte jest w zawiłych kenningach.

– Dobrze więc. Musisz zdobyć mi żonę.

Gdyby Ainar nie był człkiem biegłym w poezji, pomyślałby, że się przesłyszał. Ale słuch miał doskonały. Przypomniał sobie jaskowe ostrzeżenie kagana i z trudem powstrzymał uśmiech.

– A jak to się stało, że tak wspaniały władca, któremu wiek co prawda dodał urody, ale i przyprószył już włosy na skroniach, jeszcze się nie ożenił?

Konung spochmurniał, jakby przybysz trafił w czuły punkt.

– Miałem już żonę. Niestety, zmarła wiele lat temu. Do dziś noszę boleść w sercu i nie sądzę, by jakakolwiek kobieta zdołała ją całkiem ukoić, ale uznałem, że moim obowiązkiem jest spłodzenie syna, który obejmie po mnie władzę nad Glaesirem. Dlatego proponuję ci tę pracę.

– Różnie mnie w życiu nazywano, ale nigdy swatem. Zresztą, nie znam tu nikogo, choć pewna młoda mleczarka wpadła mi dziś w oko.

– Nic nie mówiłem o swataniu, a wszystkie młeczarki w okolicy wiedzą, dlaczego zwą mnie Wielkim. Wybrałem już sobie żonę, potrzebuję tylko kogoś, kto mi ją przywiezie. Tylko tyle i aż tyle.

Östmad potrzebował czasu, by ochłonąć, a raczej zdusić w sobie złość. Wlekł się tutaj przez setki mil, by dać się wciągnąć w zrękowiny władcy z krańca świata? Był drengiem, człowiekiem miecza. Jedyne, co wiedział o małżeństwie, to jak uwodzić męzatki.

– Tylko mi nie mów, o wielki i rozważny kaganie, że masz tu gdzieś kosmyk jej złotych włosów, który dostarczył ci skowronek.

– Nie bądź śmieszny. Skowronki są za małe i za głupie, by powierzać im takie zadanie. To była wrona.

Pieśniarz już się nie złościł. No bo ile można się wściekać na odrmada? Udzielił mu się za to głupkowaty nastrój.

– Skoro nawet ptaki słuchają królewskich rozkazów, moje usługi są zbędne. Czemu nie wyślesz po nią, o potężny kaganie, swoich ludzi? Na przykład Alego. Chociaż może rzeczywiście to kiepski pomysł. Mógłby biedaczkę wystraszyć swoją szkaradną czernią. A, już wiem! Pewnie chcesz, bym wypróbował dla ciebie pannę młodą i pokazał jej, jak dogodzić mężczyźnie. W takim razie zgoda, tylko muszę dostać gadającego konia, by mi się nie nudziło w podróży.

Gdy Tirus wpadał w złość, wydawał się większy. Nie wyglądał już jak bezbronny chłopiec przebrany w ubrania osoby dorosłej, ale jak potężny i surowy władca. To wrażenie trwało jednak krótko i gdy Ainar zmrużył oczy, znów miał przed sobą małego konunga. Pomyślał, że poranne słońce musiało sprawić psikusa jego wzrokowi.

Tylko Ali nie przejawiał ochoty do żartów. Zastygł z wyciągniętym do połowy mieczem i czekał na rozkazy.

– Pamiętaj o jajku, Skaldzie. Po raz ostatni wybaczam ci bezczelność. Lepiej będzie, jak zamilkiesz i wysłuchasz mnie do końca, bo mam wrażenie, że twój język nieraz wciągał cię w tarapaty. Moją wybranką jest Ingigerda, najpiękniejsza kobieta na wschód od Gardariki. Ma złote włosy, szczupłą kibić i kształty godne bogini. Jest córką Kola Małego, władcy Odainsaku, który jest moim zajadłym wrogiem i szczerze mnie nienawidzi. Ale ja chcę zakończyć bezsensowną wojnę między naszymi krajami, a jak zrobić to lepiej, niż poślubiając córkę nieprzyjaciela? Wysłałem więc do niego poselstwo z propozycją małżeństwa,

a ten bezczelny łotr odpowiedział, że nie wyda pierworodnej nikomu, kto nie podoła trzem próbom, które wymyśli jego podły doradca, karzeł Mödul. Słyszałeś o czymś podobnym? Nie, nie odpowiadaj. Wyczuwam szyderstwo na końcu twojego języka, milczenie uratuje ci więc życie. Pewnie chciałeś zapytać, dlaczego sam nie podejmę się tego wyzwania. Oczywiście, z łatwością przeszedłbym próby, ale jestem wielkim kaganem wspaniałego królestwa Glaesir i nie zniżę się do wykonywania zadań wymyślanych na rozkaz jakiegoś drobnego kaganka. Niedźwiedź również nie będzie jadł z psami z jednej miski. Kol to sprytna bestia. Dobrze wiedział, że nie będę mógł podjąć wyzwania, ale nie przewidział, że znajdę sobie tak dobre zastępstwo. Jakież pytania?

Konung zamilkł i kiwnął ręką Blamadowi, by schował miecz. Ainar uznał, że w końcu może się odezwać.

– Ten Mödul mnie zaciekawił. Kim właściwie jest?

Właśnie to imię sprawiło, że Skald uważnie przysłuchiwał się całej opowieści. Nie mógł zapomnieć o tęczy oczach spotkanego nieopodal Holmgardu karła ani o jego słowach. Od tamtego czasu nie przespał dobrze choćby jednej nocy i zaczynał podejrzewać, że czarownik ma z tym coś wspólnego. Z pewnością warto byłoby z nim porozmawiać i dowiedzieć się, co pokurcz ma pod skórą. W końcu Varing był rzeźbiarzem i żaden materiał nie potrafił ukryć przed nim swych tajemnic.

– A właśnie... Czarny Berserk wspominał mi, że mieliście z nim małe spięcie. Nikt nie wie, skąd pochodzi. Niektórzy mówią, że jest Bjarmalandczykiem, ale z pewnością wiele czasu spędził w Serklandach, gdyż dobrze zna się na tamtejszych czarach. W każdym razie, odkąd został głównym doradcą Kola Małego, poczynania tego niewydarzonego kagana wydają się znacznie mądrzejsze. Jego ludzie zresztą przeszkadzają mi w każdym przedsięwzięciu. Właśnie dlatego was napadli. Na szczęście oddział Mödula dopadł was już po tym, jak Ali zawarł umowę z panem Holmgardu. Przeklęty pokurcz zabił jednak zwierzęta, które miałem podarować zaprzyjaźnionym władcom grodów leżących wzdłuż górnego Itilu.

Cała ta sprawa z handlem nie bardzo poetę obchodziła, ale szybko zorientował się, o co naprawdę toczono spór. Dyragard kontrolował spory kawałek szlaku kupieckiego wzdłuż rzeki Itil, a po umowie

z Holmgardem cały północny rynek mógł stanąć przed nim otworem. Rzecz szła więc o sporą ilość towarów i monet, o solidny zarobek z dalekosiężnego handlu.

– Jak mam zdobyć rękę pięknej panny, jeśli jej ojciec chce twojej i mojej śmierci?

– Nie powiedziałem, że to będzie łatwe. Ale jeśli zdołasz dotrzeć do siedziby Kola i ogłosisz chęć przystąpienia do prób, będziesz bezpieczny. Kol dobrze wie, że nie może cofnąć wyzwania, bo wszyscy jego stronnicy zobaczyliby, jakim jest wiarołomcą.

Pieśniarz poczuł się pewniej. Spiski, próby, wojna: w końcu mówili językiem Północy.

– Skoro mam rozważyć twoją propozycję, muszę się dowiedzieć: dlaczego ja?

– Dlaczego i dlaczego! Myślisz, Skaldzie, że jesteś taki wyjątkowy? Wcześniej zleciłem to zadanie wielu swoim ludziom, ale żaden nie zdołał nawet dotrzeć do siedziby Kola. Dlatego gdy usłyszałem, że słynny rzeźnik Irskmadów, banita całej Północy, od dwóch lat przepija resztki swojego majątku w Holmgardzie, kazałem cię odnaleźć. Nawet tutaj krążą o tobie opowieści, choć jesteś raczej zbyt młody, by dokonać chociaż połowy czynów, które ci przypisują. Jak już wiesz, Ali i tak musiał się udać do tego gardu, mógł więc zahaczyć o tamtejszy skytning. Podobno zostawiłeś w tym pijackim przybytku tyle srebra, że właściciel nazwał go twoim imieniem?

Poeta nie był tak młody, jak by tego sobie życzył. Skończył już trzydziesty szósty rok życia, ale wyglądał przynajmniej dziesięć lat młodziej. Zazwyczaj złościły go uwagi na temat wieku – wcale nierzadkie – lecz z doświadczenia wiedział, że kobiety zawsze wołały młodych. A przynajmniej wyglądających na młodych.

– Sława Ainara Skalda nie zna granic.

– Tak i ja sobie pomyślałem! Słynny pieśniarz i zabijaka potrafi chyba przyprowadzić mi żonę? Tym bardziej że dostanie dobrą obstawę, by w drodze nic mu się nie stało.

Vaering zrozumiał groźbę. Towarzysze podróży zadbają, by nie zmienić kierunku wyprawy. Zapewne nie byłby pierwszym zalotnikiem, który przedłożył bezpieczne tchórzostwo nad niepewny zarobek.

– Będzie jeszcze tylko jedno „dlaczego”. Dlaczego miałbym się na to zgodzić?

– O tym zdecydujesz sam. Masz przecież wiele możliwości. Możesz na przykład wybrać, na którym poziomie moich ogrodów bestii zechcesz spędzić kolejną noc. Ufam, że Ali ci o nich opowiedział. Możesz też zdobyć dla mnie pannę młodą, a w zamian dostać tyle złota, ile waży wybranka mojego serca. To jak będzie?

Gość już wcześniej podjął decyzję, ale czekał na wzmiankę o nagrodzie. Po karła mógł się wybrać nawet za darmo, bo w jego przypadku chodziło o zemstę i odzyskanie spokojnych snów, ale jedna z zasad wpojonych mu przez babkę brzmiała: „Zawsze lepiej, gdy płacą”.

– Wybieram złoto.

– Mądrze, choć mnie nie zwiedziesz. Tak naprawdę wybrałaś przygodę, sławę i temat dla pieśni. Monety to tylko miły dodatek. I wiem, co ci chodzi po głowie. Druga strona.

Ainar, gdyby umiał, zrobiłby niewinną minę, jednak ostatnie wydarzenia sprawiły, że jego pokiereszowaną bójkami i pijaństwem twarz można byłoby obarczyć winą za wszelkie niegodziwości tego świata. Na szczęście jego boski opiekun, mający ten sam problem, podzielił się z nim umiejętnością przybierania kilku innych przydatnych masek. Poeta uniósł więc brew i udał zdziwienie.

– Nie wykrzywiasz się, dobrze wiesz, że zawsze jest jakaś druga strona. Myślisz: „Skoro Tirus chce za żonę córkę swojego wroga, musi istnieć grono niezadowolonych, którzy woleliby wydać za niego swoją własną córkę”. Owszem, doszły mnie słuchy o takich ludziach. Jeśli się z tobą skontaktują, możesz nawet wziąć od tych głupców zapłatę, ale wierny masz być tylko wobec mnie. Resztki ostatniego, który mnie zdradził, leżą tam.

Wskazał ręką pod drzwi, a pieśniarz posłusznie przeniósł wzrok na kość, którą przed śniadaniem kagan rzucił we wronę.

– Jak znajdę tego Kola?

– Nie przegapisz jego siedziby, choć leży na samym krańcu Odainsaku. A zresztą dostaniesz przewodnika.

Kowal słów
Copyright © Łukasz Malinowski
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Bernadetta Leśniowska-Gustyn
Copyright © for the maps by Bartosz Czarnecki
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2022 r.

książka ISBN 978-83-7995-626-5

ebook ISBN 978-83-7995-627-2

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Artur Szejter

Korekta: Barbara Mikulska

Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Projekt okładki: Bernadetta Leśniowska-Gustyn

Mapy: Bartosz Czarnecki

Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-432 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna na www.geniuscreations.pl

